

## 5.

### SKARB

Kiedy tata i ja przyjeżdżamy do domu, dokładam zabrane pieniądze do moich oszczędności, które trzymam w małym piórniku zabezpieczonym gumką, schowanym za ruchomym lustrem w moim pokoju.

Ładując komórkę, esemesuję do Hitcha, żeby spotkał się ze mną około północy przed Podziemnym Światem, i wyjaśniam po co. Jest jedyną znaną mi osobą potrafiącą załatwić fałszywy paszport. Wciąż nie mogę uwierzyć, że ukradłam Taelor pieniądze i ukryłam jej torebkę. Ale jak powiedział tata, zrobimy wszystko, żeby sprowadzić Alison z powrotem do domu. Myśl o tym, jak wściekłby się Jeb, gdyby się dowiedział, że mam spotkać się z Hitchem sam na sam po nocy, budzi we mnie jeszcze większą determinację, by się nie cofnąć.

Szybami okien wstrząsa niski, głęboki grzmot i w dach uderzają pierwsze krople deszczu. Nadciąga następna burza.

Przykładam rozpostartą dłoń do chłodnej ścianki akwarium, a potem wymacuję z tyłu włącznik i zapalam łagodne niebieskawe światło. Afrodyta i Adonis wykonują pełen wdzięku taniec, splecione swoimi długimi ciałami.

Idąc do garażu, żeby sprawdzić moje pułapki na owady, przechodzę przez salon. Jest tam tata. Siedzi w fotelu i wpatruje się

w olbrzymie stokrotki, które Alison ponaszywała gęsto na poręczach i oparciu. Szłocha.

Mam ochotę go objąć, żeby wynagrodzić mu naszą kłótnię, ale kiedy orientuje się, że mu się przyglądam, mówi, że po prostu coś wpadło mu do oka, i wychodzi kupić hamburgery na kolację.

W bursztynowym blasku lampy stojącej przy fotelu unoszą się w powietrzu drobinki kurzu. To dziwne światło oraz ciemna boazeria na ścianach nadają salonowi osobliwą aurę i upodobniają go do starej sepiowej fotografii.

Fotografie. Dlaczego Alison powiedziała tak o zdjęciach, że ludzie zapomnieli, jak się czyta między wierszami?

Stoję tam, metr od fotela, a wszystko, co bełkotała, przełatuje mi przez głowę niczym kamyki ciskane do studni. Jeden wciąż upada na szczyt: „Stokrotki są ukrytym skarbem. Skarbem zagrzebanym”.

I nagle przychodzi mi na myśl oczywiste wyjaśnienie. Istniało od lat. Klękam przed fotelem, gniotąc tiul i koronki haliki pod minispódniczką, i odsuwam zawadzający plecak. Trudno uwierzyć, że wyszłam ze szkoły przed zaledwie około siedmioma godzinami. Odtąd tyle się wydarzyło, że straciłam poczucie czasu.

Pociągam za jedną z naszytych przez Alison stokrotek z materiału, w miejscu gdzie dwa płatki odstają w dół od postrzępionych nici. Wiedzioną intuicją, wsuwam palec wskazujący między naszytą aplikację a obicie i wymacuję dziurę wygrzebaną głęboko w wyściółce fotela.

Wstrzymując oddech, szarpię aplikację, aż zwisa tylko na jednym płatku i kilku nitkach. Moim oczom ukazuje się otwór wielkości dziesięciocentówki, zbyt regularnie okrągły, by mógł powstać przypadkiem. Przez wszystkie lata myślałam, że

Alison naszyła łąty, żeby zakryć wytarte miejsca. Ale się myliłam.

Grzebię palcami w rozdartym obiciu i wyciągam wyściółkę, aż natrafiam na niewielki, twardy przedmiot z metalu. Wodzę palcem po jego okrągłym kształcie, z którego sterczy długa, cienka nóżka ze żłobieniami i ząbkowaniem. *K l u c z*. Przyciągam go palcem do wylotu otworu i wydaję. Przytwierdzony do niego łańcuszek zwija się na poduszce fotela niczym wąż.

Wyzwanie ze strony internetowej staje się jasne. „Jeżeli chcesz uratować swoją matkę, użyj klucza”.

Może powinno mnie to przestraszyć, jednak jestem podekscytowana faktem, że mam w końcu namacalny dowód tego, iż Alison usiłuje mnie o czymś powiadomić... że jej bredzenia w istocie wcale nie są bredniami. Stanowią spójne wskazówki.

Stukam czubkiem palca w zimny metal i próbuję sobie wyobrazić, co może otwierać ten klucz. Nigdy jeszcze takiego nie widziałam – misternie zdobionego, z pasmami wypolerowanego mosiądzu splecionymi niczym bluszcz. Wygląda na stary, a nawet zabytkowy. Jest tak maleńki, że mógłby otwierać tom jakiegoś oprawnego pamiętnika.

Zawieszam go sobie na łańcuszku na szyi i ukrywam pod koszulą. Alison powiedziała „stokrotki”, w liczbie mnogiej. Czy za pozostałymi aplikacjami mogą kryć się inne przedmioty?

Podekscytowana, nie zważam na to, że lada chwila może wrócić tata. Nawet nie zastanawiam się nad konsekwencjami tego, że rozprułam jego ulubiony fotel.

Na niskim stoliku trzyma scyzoryk do rozcinania kopert listów. Otwieram końcówkę z nożyczkami, przecinam wszystkie

stokrotki na pół i dłubię palcami w otworach pod nimi. Strzępy wyściółki spadają na podłogę jak śnieg.

Wkrótce siedzę u stóp fotela z niewielką kolekcją skarbów wiążących się z Krainą Czarów: zabytkową spinką do włosów – w gruncie rzeczy przypominająca raczej wsuwkę – z przymocowaną do jej zakrzywionego końca rubinową kroplą; gęsim piórem; wiktoriańskim wachlarzem z koronki i również koronkowymi rękawiczkami pachnącymi talkiem i czarnym pieprzem. Powstrzymuję kichnięcie i odkładam na bok dwie fotografie mojej prapraprababki Alicji, żeby obejrzeć książeczkę, którą też znalazłam wewnątrz fotela.

Gładzę palcami podartą okładkę kieszonkowego wydania i przyglądam się tytułowi: *Alicja w Krainie Czarów*. Na słowie „Alicja” nagryzmołono czerwonym markerem imię Alison.

Chciała, żebym znalazła te skarby. Coś w nich ma mnie zniechęcić do wejścia do króliczej nory. Lecz zamiast tego rodzi się we mnie przekonanie, że pamiątkowe przedmioty mogą pomóc w uleczeniu Alison i zdjęciu klątwy ciąży na rodzinie Liddellów.

Pod okładkę powieści wetknięta jest broszura turystyczna dotycząca wycieczki po Tamizie szlakiem londyńskich zegarów słonecznych. Widnieje na niej zdjęcie rzeźby przedstawiające chłopca z zegarem słonecznym na głowie. Z niedowierzaniem odchyłam się do tyłu. To ta sama, którą widziałam wcześniej w umyśle, ta, obok której bawiła się dwójka dzieci. Widocznie kiedy Alison była młodsza, szukała króliczej nory; widocznie po to wybrała się w podróż do Londynu. Bo z jakiego innego miejsca mogłyby pochodzić te pamiątki? A przede wszystkim: co sprawiło, że przerwała poszukiwania?

Rzeźba jest opatrzona datą: 1731 rok – Alicja Liddell urodziła się dużo wcześniej – tak więc stała tam już, kiedy moja prapraprababka była małą dziewczynką, co oznacza, że mogła wpaść do dziury pod nią.

Mam już adres, jednak według informacji zawartych w broszurze to teren prywatny i nie ma do niego dostępu. Turystom wolno oglądać rzeźbę z zegarem słonecznym jedynie zza żelaznego ogrodzenia. Nawet jeśli tam dotrę, będę potrzebowała cudu, żeby wśliznąć się niepostrzeżenie i zbadać z bliska postument.

Wsuwam broszurę z powrotem do książki i przeglądam pobieżnie tak dobrze mi znaną powieść. Książka ma dużo czarno-białych ilustracji. Dostrzegam kilka kartek z zagiętymi rogami i kilka podkreślonych fragmentów: wiersz o Morsie i Cieśli, epizod z łzami powodującymi powódź, podwieczorek u Szalonego Kapelusznika.

Na marginesach są liczne notki i komentarze nakreślone charakterem pisma Alison, różnymi kolorami atramentu. Dotykam ich, żałując, że nigdy nie usiadłyśmy razem – z książką w ręku – tak aby mogła mi wyjaśnić znaczenie tego wszystkiego.

Większość jej wpisów jest zamazanych, jakby stronice zamokły. Zatrzymuję się przy ilustracji przedstawiającej Królową i Króla Kier, przy której Alison napisała: „Czerwoni Królowa i Król – właśnie tutaj to się zaczęło. I tutaj się skończy...”.

Spod zasłon okiennych przenika blask błyskawic.

Na końcu książki doklejono dwadzieścia kilka stron. Na każdej ktoś naszkicował istoty podobne do zmutowanych postaci z Krainy Czarów, które widziałam na stronie internetowej z ćmą: chudy jak szkielet biały królik, groźne kwiaty z okrwawionymi zębami, nawet odmienna wersja Czerwonej

Królowej – smukła piękność z jaskraworudymi włosami, wzorami namalowanymi czarnym tuszem wokół oczu i zwiewnymi skrzydłami.

Rysunki wywołują we mnie kolejną wizję dwojga dzieci, intensywniejszą od tej, której doświadczyłam wcześniej, ponieważ teraz nie muszę nawet zamykać oczu. Salon znika i jestem na łące, czuję woń wiosny. Słoneczne cętki wokół mnie migoczą w rytm kołysania się gałęzi drzew poruszanych łagodnym wiatrem. Cały krajobraz niezwykle opalizuje.

Dziewczynka – wyglądająca na mniej więcej pięcioletnią – ubrana jest w falbaniastą czerwoną górę od pizamy z długimi bufiastymi rękawami i także spodnie sięgające poza kostki. Siedzi na trawiastym pagórku obok chłopca, który ma co najwyżej osiem lat. Oboje są odwróceny do mnie plecami.

Chłopiec ma czarne skrzydła przypominające pelerynę; tego samego koloru są jego aksamitne spodnie i jedwabna koszula. Odwraca się nieco w bok, tak że widzę jego profil, ale twarz skrywa zasłona pałających niebiesko włosów. Za pomocą igły nawleka na sznurek martwe ćmy, tworząc makabryczną wersję popcornowego wianka.

Nogi w czarnych butach turystycznych opiera na stercie rysunków – takich samych jak te wklejone do egzemplarza *Alicji w Krainie Czarów* należącego do Alison.

– Tamta – mówi cichym dziecięcym głosem przypominającym szelest liści na wietrze. Nie podnosząc wzroku, wskazuje igłą rysunek przedstawiający Czerwoną Królową. Tym gestem wprawia w trzepot sznurek z martwymi ćmami. – Opowiedz mi o jej sekretach.

Dziewczynka porusza bosymi stopami, różowe paznokcie połyskują w łagodnym świetle.

– Mam już dosyć bycia w Krainie Czarów – mamrocze niewinnym dzieciannym głosikiem. – Chcę do domu. Jestem śpiąca.

– Ja też. Może gdybyś nie szamotała się ze mną w powietrzu podczas lekcji latania – mówi chłopiec z wyraźnym teraz gwarowym londyński akcentem – już byśmy je skończyli.

– Mdli mnie w brzuszku, kiedy wzlatujemy tak wysoko. – Ziewa. – Czy nie pora już pójść spać? Robi mi się zimno.

Chłopiec przecząco kręci głową i szturcha stopą rysunek.

– Najpierw jej sekrety. Dopiero potem zaprowadzę cię z powrotem do twojego ciepłego łóżeczka.

Dziewczynka wzdycha, ujmuje jedno z jego skrzydeł i owija się nim. Ogarnia mnie fala przytulnego ciepła, podobna do tej, jaką ona zapewne czuje. Dziewczynka wtula się w ten atlasowy tunel, owiana zapachem chłopca – wonią lukrecji i miodu.

– Obudź mnie, kiedy będzie już pora iść.

Chłopiec, którego oczy wciąż zakrywa burza włosów, wybucha śmiechem. Ma ładny wykrój ust, ciemnych na tle bladej cery, i równe zęby lśniąco białe.

– Żmijka-szyjka, złotko-dzidzia – mówi.

Szarpnięciem wyswobadza skrzydło, pozostawiając dziewczynkę marznącą i nadąsaną.

Kładzie się na ziemi na brzuchu. Skrzydła rozpostarte po jego obu bokach wyglądają jak lśniąco czarno kałuże ropy. Nachyla się nad stertą martwych ciem. Przebijają igłą brzuch jednej z nich i dołącza ją do innych nawleczonych na sznurek.

Dziewczynka obserwuje go zafascynowana.

– Ja też chcę przekłuć jedną.

Chłopiec unosi dłoń z rozcapierzonymi palcami – długimi, białymi i kształtnymi.

– Opowiedz mi o pięciu sekretach, a pozwolę ci nawleć jedną ćmę za każdy prawdziwy.

Dziewczynka klaszcze w ręce, a potem chwyta rysunek Czerwonej Królowej i kładzie sobie na kolanach.

– Ona lubi wsypywać do herbaty popiół z żarzącymi się jeszcze węgielkami.

Chłopiec przytakuje.

– A dlaczego? – pyta.

Dziewczynka przechyla głowę na bok, zastanawia się.

– No...

Znam odpowiedź, chociaż nie potrafiłabym wyjaśnić skąd. Przygryzam język i czekam, czy dziewczynka zgadnie, w duchu trzymając za nią kciuki.

Chłopiec unosi sznurek z ćmami i mówi kpiąco:

– Wygląda na to, że będę musiał sam dokończyć tę robotę.

Dziewczynka zrywa się na nogi, depcząc soczyście zieloną trawę.

– Och! Popiół jest dla jej mamusi. Chodzi o jej mamusię.

– To za mało – mówi chłopiec i nabija na igłę kolejną ćmę.

Ich sterta robi się coraz mniejsza. Chłopiec uśmiecha się złośliwie.

Dziewczynka jest wyraźnie zirytowana. Na pewno często tak jej dokucza. Drażni się z nią, póki nie wyprowadzi jej z równowagi. Ale jest w nim też coś innego, jakaś kojąca ciepłowość, gdyż wyczuwam uczucie i szacunek dziewczynki dla niego.

Chłopiec nawleka następną ćmę, klaskając językiem.

– Szkoda, że nie będziesz mogła mi pomóc. Zresztą myślę, że jesteś za mała, żeby dać ci do ręki igłę.

– Wcale nie jestem za mała – burczy dziewczynka.

Mam już dość jego arogancji, więc wykrzykuję odpowiedź:

– Chodzi o syk pary, kiedy rozżarzone węgielki wpadają do herbaty! Ten dźwięk koi królową. Przypomina jej, jak matka uciszała ją, gdy w dzieciństwie płakała.

Oboje gwałtownie odwracają głowy w moim kierunku, jakby mnie usłyszeli. Teraz widzę wyraźnie twarz dziewczynki. Ona jest mną... moim sobowtórem ze zdjęcia z zerówki, z brakującymi przednimi zębami i tak dalej. Lecz to widok twarzy chłopca – ze znajomymi czarnymi oczami, z których cieknie atrament – sprawia, że ląduję z powrotem na kolanach w salonie, a łąka wokół mnie znika.

Czuję się otępiała. Czy to możliwe? To nie były obrazy z jakiegoś obejrzanego kiedyś filmu. To były moje wspomnienia. Skoro te wspomnienia tkwiły we mnie uwięzione, w takim razie co jeszcze przydarzyło mi się w przeszłości, czego nie pamiętam?

Czy naprawdę odwiedziłam Krainę Czarów i przebywałam tam z jakimś netherlingiem?

Biorę drżący wdech. Nie. Nigdy tam nie byłam.

Wiodę palcem po ogniste rudych włosach Czerwonej Królowej na rysunku. Jeżeli nigdy tam nie byłam, skąd wiedziałam to o królowej i jej matce? Skąd wiem, że po śmierci matki jako młoda księżniczka czuła się samotna, ponieważ ojciec król nie mógł znieść jej obecności, z tego powodu, że przypominała mu zmarłą żonę? Skąd wiem o jej smutku, kiedy ojciec musiał powtórnie się ożenić, ponieważ Krainą Czarów rządzi królowe?

Wiem o tych sprawach, ponieważ on mnie ich nauczył. Ten skrzydlaty chłopiec.

„Anglik”. Przypominam sobie głos, który słyszałam dziś w głowie podczas pracy, a także plakat i otchłanne oczy młodzieńca krwawiące czernią. W umyśle znów rozbrzmiewa mi jego wyzwanie: „Czekam na dnie króliczej nory, złotko. Odszukaj mnie”.

„Złotko”. Tak chłopiec nazwał tę dziewczynkę – tak nazwał mnie – w tym wspomnieniu, które wyłoniło się z głębi mojej pamięci. To ta sama osoba... czy stwór... ale jest teraz starszy, podobnie jak ja. Nagle ogarnia mnie wrażenie, jakbym tęskniła za nim od lat. Moje emocje rozchodzą się w dwie różne strony – oszałamiająca mieszanina strachu i tęsknoty – sprawiając o zawrót głowy.

Dzwonek do drzwi przywraca mnie gwałtownie do teraźniejszości. Urządzenie taty do zdalnego otwierania drzwi garażu jest zepsute. To na pewno on.

Dzwonek brzęczy ponownie.

Wyciągam z włosów strzępki wyściółki. Jak zdołam mu wyjaśnić, co zrobiłam z fotelem?

Z gorączkową gonitwą myśli w głowie chowam znaleziska do plecaka i podejmuję spontaniczną decyzję, że zabiorę je wszystkie do Londynu. Potem, przypomniawszy sobie o okrutnych stworzeniach zamieszkujących podziemne królestwo, które zobaczyłam w internecie, i o czarnookim skrzydlatym chłopcu, który zdaje się częścią mojej przeszłości, wrzucam do plecaka także scyzoryk taty.

Otwieram drzwi i widzę Jeba, który wchodzi na ganek, wkładając komórkę do kieszeni marynarki smokinga. Z wysiłkiem zachowuję opanowany wyraz twarzy.

– Cześć – rzucam.

– Cześć – odpowiada.

Z tyłu za nim błyskawica rozdziera chmury. Blask rzuca na jego policzki cienie długich rzęs. Podmuch wiatru przynosi mi zapach jego wody kolońskiej.

Może przyszedł mnie przeprosić. Mam taką nadzieję, ponieważ mogłabym teraz skorzystać z jego pomocy.

– Musimy porozmawiać – mówi.

Ostry ton jego głosu natychmiast budzi we mnie opór. Jeb stoi w progu, górując nade mną. Pomimo smokinga nadal wygląda luzacko – od szczeciny zarostu po bandanę wokół lewego bicepsa. To wrażenie potęgują białe prążkowany bezrękawnik i czarne wojskowe buty zamiast frakowej koszuli i lakierków. Taelor, nasza szykowna gwiazda liceum w Pleasance, wścieknie się na widok tych dodatków do smokinga.

– Czy nie powinienś już jechać swoim samochodem na ten beznadziejny bal? – pytam ostrożnie, próbując go wybadać.

– Nie jadę nim.

Przekład: Taelor ma po niego przyjechać limuzyną swojej rodziny i wytwornie się spóźnia.

Jeb wbija kłykie w futrynę drzwi i zaciska szczęki. No tak, jest czymś wkurzony. Ciekawe czym? Przecież to mnie należą się przeprosiny. A właściwie błaganie o przebaczenie.

– Mogę wejść? – pyta.

Pod jego wargą błyska w świetle czerwienią nowiutki kolczyk z granatu. Tajemnica torby ze sklepu jubilerskiego zostaje oficjalnie rozwiązana.

– Jaki uroczy drobiazg – mówię kpiąco. – Taelor sprezentowała ci biżuterię do wklucia pod wargę... i to jaką błyszczącą.

Trąca kolczyk językiem.

– Ona stara się zachować taktownie.

Wzbiera we mnie rozpalony do białości gniew, gdy przypominam sobie Londyn i wszystko, co Taelor mi powiedziała.

– Oczywiście. Ponieważ jest ósmym cudem świata... a właściwie jej nogi.

Jeb marszczy brwi.

– Co masz na myśli?

– W Taelor jest tyle taktu co w jadowanym pająku. Granat to jej szczęśliwy kamień związany z datą urodzin. Nosisz wkłuty

pod wargą jej dzień urodzin. To dowód, że ona oplątuje cię swoją pajęczyną.

Jeb spogląda na mnie z chmurną miną.

– Przestań się jej czepiać. I bez tego miała paskudny dzień. Zgubiła torebkę, w której były pieniądze. – Milknie i przesuwając palcem po futrynie. – Pamięta, że ostatnio miała ją w twoim sklepie. Ale przypuszcza, że gdybyś znalazła torebkę, zawiadomiłabyś ją. Nie widziałas jej, prawda?

Tłumię dręczące mnie poczucie winy.

– Nie. I dla jasności: nie jestem służącą, która nosi torebkę za Jej Królewską Wysokością.

– Mówię serio, Al. Okaż dla niej trochę współczucia, do brze? Czy nie dość już ją skrzywdziłaś?

– Ja skrzywdziłam ją?

– Mówiąc jej prosto w twarz, że jej ojciec nie troszczy się o nią tak, jak twój o ciebie. Nie rozumiesz tej sytuacji. Jesteś wielką szczęściarą, że masz dobrego tatę. Taelor ani ja nie mieliśmy takiego szczęścia. Wiesz, jak bardzo ona jest wrażliwa na tym punkcie. To, co jej powiedziałaś, było zimne i okrutne.

Skoro mowa o zimnie, to krew lodowacieje mi w żyłach. Mam wielką ochotę powtórzyć mu jej słowa, które sprowokowały mnie do takiej ostrej reakcji, ale nie powinienam musieć tego robić. Niegdyś Jeb ufał mi na tyle, by bez pytania wziąć moją stronę przeciwko każdemu. Teraz zawsze usiłuje pogodzić mnie i Taelor. Ale to nie ja mam problem... z wyjątkiem tego, że jestem kłamczuchą i złodziejką.

Wszystko się na mnie wali: te niepokojące odkrycia, rozpad przyjaźni z Jebem i moja rozbita rodzina. Mam wrażenie, że się duszę. Chcę zatrzaskać drzwi, ale Jeb blokuje je stopą. Odsuwam się, gdy odskakują gwałtownie.

Jeb trzyma rękę na klamce, żebym nie mogła spróbować ponownie zamknąć mu drzwi przed nosem. Krople deszczu skrzą się w jego lśniących włosach, których idealne u fryzowanie kosztowało go niewątpliwie litry nabłyszczającej pomady i godziny starań. To jedyny aspekt powierzchowności Jeba, który Taelor rzeczywiście zaaprobuje. Co do mnie, wolę go w niechlujnej wersji – z włosami w nieładzie, ciałem śliskim od potu, z plamami oleju silnikowego albo farb wodnych na oliwkowej skórze. To był Jeb, z którym dorastałam. Ten, na którego mogłam liczyć. Ten, którego straciłam.

Moje spojrzenie i serce twardnieją.

– Jeśli przyszedłeś oskarżać mnie o to, że rzekomo sprawiłam przykrość twojej idealnej dziewczynie, to uznajmy, że już to zrobiłeś.

– O nie. Jeszcze nawet nie zacząłem. Jen przysłała mi esemes. Dostała wiadomość od Hitcha. Chyba nie jest takim podlecem, za jakiego go uważaliśmy, ponieważ zaczął się zastanawiać, w jakie tarapaty wpadłaś. Po co ci na dziś wieczór fałszywy paszport?

Gardło mi się ściska. Mam ochotę wśliznąć się w szpary pęknięć linoleum.

– Nie mogę teraz ci tego wyjaśnić – mamroczę.

– A kiedy będzie odpowiednia pora? Może zamierzasz wysłać mi esemes z samolotu?

Odwracam się, ale Jeb podąża za mną korytarzem. Napieram na niego, żeby nie mógł wejść do salonu, i krzyżuję ramiona na piersi, pohamowując chęć walnięcia go pięścią.

– Nie możesz ładować się nieproszony.

Opiera się ramieniem o wiszące na ścianie zdjęcie w ramce przedstawiające Alison na polu pszenicy podczas żniw.

– Czyżby? – Popycha obcasem drzwi za sobą, zatraskując je i odcinając nas od burzy i zapachu deszczu. – Kiedy ostatnio sprawdzałem, nie byłem wampirem – mówi cicho.

Mocniej zaciskam pięści i cofam się na skraj dywanu wyznaczający granicę salonu.

– Niewątpliwie masz w sobie wiele z wampira.

– Bo się do ciebie przysysam?

– Jest jeszcze inny dowód. Dosłownie czytasz w moich myślach.

Ostrożnie unoszę rękę i ujmuję klucz ukryty pod tiszertem.

Jeb chwytą mnie za nadgarstek drugiej ręki, gniotąc rękawiczkę bez palców, i wciąga mnie za sobą z powrotem na korytarz; jest tak blisko, że moja rozkloszowana minispódniczka ociera się z szelestem o jego uda.

– Gdybym umiał czytać w myślach, wiedziałbym, co takiego roi ci się w głowie, że choćby tylko rozważasz pomysł samotnej podróży za granicę w środku nocy, bez powiadomienia kogokolwiek.

Bezszykownie próbuję się wyswobodzić.

– Hitch to kretyn. Powiedziałam mu, że potrzebuję fałszywego dowodu tożsamości, a nie paszportu. Pomieszało mu się.

Jeb puszcza mnie, lecz wciąż ma gniewnie ściągnięte brwi.

– Po co miałybyś potrzebować fałszywego dowodu tożsamości?

W mojej głowie znów odzywa się ten trzepot, uderza o ściany czaszki, prowokując mnie, żebym rozdrażniła Jeba i patrzyła, jak się wiję.

– Żeby połączyć po barach i podrywać facetów. Trochę się zabawić. Zdobyć nieco doświadczenia życiowego. No wiesz, żebym była w porę gotowa pojechać do Londynu na twój królewski ślub z Taelor.

Mój gwałtowny jadowity atak wywołuje zamierzony skutek. Wyraz twarzy Jeba się zmienia, pojawia się na niej wściekłość, a zarazem ból, coś pomiędzy zranionymi uczuciami a chęcią uduszenia mnie.

– Co się z nami dzieje? – mówi cicho.

Wzruszam ramionami i wbijam wzrok w swoje buty, próbuję stłumić tę prowokującą obecność wewnątrz mnie. Deszcz bębni o szyby – i ten odgłos jeszcze bardziej rozdyma bańkę milczenia między nami. Odwracam się i uykam do salonu, nie przejmując się już tym, w jakim stanie go zostawiłam.

Jeb wchodzi tuż za mną. Czuję się jak Biały Królik usiłujący prześcignąć czas. Jeb chwyta mnie z tyłu za skraj halki i odwraca ku sobie. Twarz mu tężeje, gdy spogląda nad moim ramieniem na fotel.

– Co się stało z łatami naszytymi przez twoją mamę? – Chwyta mnie za ramiona. – Zaraz... czy dziś w zakładzie Soul coś poszło źle?

Wyswobadzam się i przyciskam dłonie do brzucha, żeby złagodzić mdłości.

– Alison miała nawrót ataku. Gwałtowny. Jen ci nie powiedziała?

Przygląda się mojej twarzy jeszcze uważniej, chłonąc każdy szczegół rysów.

– Śpieszyła się. Przysłała mi tylko esemes o Hitchu. Czy to z powodu mamy tak rozrabiasz?

Policzki oblewa mi gorący rumieniec. „Rozrabiasz”. Jakbym była rozwyrzoną kulką. Gdyby mógł zobaczyć, co się teraz we mnie dzieje, miałby być może dość rozsądku, by się przestraszyć.

I w końcu to uderza mnie z pełną siłą... świadomość tego, jak bliska jestem obłędu... to w jak szalone rzeczy zaczynam wierzyć. Wstrząsa mną drżenie.

Jeb rozkłada ramiona.

– Chodź tu do mnie.

Nie waham się. Pozwalam sobie wpaść w jego silne ramiona, spragniona choćby odrobiny zwyczajności i normalności.

Prowadzi mnie – wciąż desperacko przywierając do niego – w kierunku kanapy; jego ręce obejmują mnie w talii, moje stopy opierają się na jego butach, jakbyśmy tańczyli walca. Wdycham jego czekoladowo-lawendowy zapach, aż wreszcie w nim tonę. Opadamy razem na poduszki kanapy. Zdaję sobie sprawę, że płaczę, dopiero gdy odsuwam się, a jego prążkowany bezrękawnik przylepia się do mojego wilgotnego policzka.

– Przepraszam za to, co zrobiłam z twoją koszulą – mówię i próbuję zetrzeć plamy makijażu z lewej strony jego bezrękawnika.

– Łatwo temu zaradzić – mówi Jeb i zapina smoking, zakrywając bezrękawnik.

– To tyle, jeśli chodzi o moją godność – szepczę, ocierając twarz.

Delikatnie odgarnia kilka moich niesfornych kosmyków przyklejonych do wilgotnych skroni.

– Mówisz o godności? Spójrz na to. – Wyjmuje coś z wewnętrznej kieszeni smokinga. – Komitet organizacyjny szkolnego balu przegłosował motyw maskarady. Tae kupiła mi maskę.

– Bal maskowy? To d o p r a w d y oryginalny pomysł.

Zmuszam się do sarkazmu, wdzięczna, że unikamy tematu fotela i Alison; nie dbam o to, czy ze względu na mnie, czy na Jeba.

– Nie ma się z czego śmiać.

Wkłada czarną satynową maseczkę z elastyczną tasiemką. Otwory na oczy i zewnętrzne brzegi okalają miniaturowe

pawie pióra, przez co Jeb wygląda w niej, jakby motyl rozbił mu się na twarzy. Nie mogę się powstrzymać i parskam śmiechem.

– Hej, przestań – mówi.

W jego policzkach pojawiają się dołeczki uśmiechu, gdy szczypie mnie w żebra.

Łapię go za palec, też się uśmiechając.

– A więc... jesteś buntowniczą drag queen, tak?

– Och, zapłacisz mi za to, skejterko! – wykrzykuje.

Łaskocze mnie, póki nie odwracam się do niego tyłem, a wtedy obejmuje mnie wpół i unieruchamia.

– Auć – jęczę i chwytam się za boki, bolące mnie zarówno od płaczu, jak i śmiechu.

– Uraziłem cię? – pyta i nieruchomieje z rękami po obu stronach mojej talii.

– Tylko trochę – kłamię.

Czoło Jeba jest tuż przy moim, jego długie czarne rzęsy wystają przez otwory na oczy w масeczce. Ma okropnie skruszoną minę.

– Gdzie? W kostkę?

– Wszędzie. Śmianie się sprawia ból.

Uśmiecha się.

– Ach, więc zamierzasz zdjąć mi tę maskę?

– Pewnie. Zresztą wyglądasz w niej jak miotełka z piór.

Rozbawiony, ściąga maskę i używając jej elastycznej tasiemki jak gumki procy, wystrzeliwuje ją przez pokój. Масeczka uderza w ścianę, spada na podłogę i leży tam jak bezkształtny pierzasty kłębek.

– Krzyżyk na drogę – mówimy równocześnie i oboje się uśmiechamy.

Właśnie za tym tęskniłam. W towarzystwie Jeba czuję się niemal normalna. Dopóki nie przypominam sobie, że taka nie jestem.

Odsuwam się od niego na pewną odległość.

– Powinieneś już iść. Nie chcesz chyba, żeby Taelor zobaczyła, jak wychodzisz z mojej połowy domu?

Kładzie sobie moją lewą kostkę na kolanach.

– Najpierw chcę obejrzeć to skręcenie.

Już mam mu powiedzieć, że z kostką jest lepiej, ale dotyk jego silnej, ciepłej dłoni pod zgięciem mojego kolana sprawia, że rezygnuję. Przygryzam dolną wargę i przyglądam się, jak rozsznurowuje mój but. Gdy ostrożnie wsuwa wskazujący palec pod brzeg nogawki legginsów i delikatnie wiede nim wokół znamienia, ten gest jest tak nieoczekiwanie intymny, że moją łydkę przenika drżenie.

Spogląda mi w oczy, a ja zastanawiam się, czy on też to poczuł. Patrzy na mnie znowu tak, jakbym była jednym z jego obrazów.

Pokojem wstrząsa grzmot pioruna, rozrywając nasze spojrzenia.

Odkasłuję.

– Widzisz? Już jest całkiem zdrowa.

Wyswobadzam nogę i zawiązuję sznurowadło buta.

– Al. – Jego grdyka porusza się, gdy przełyka nerwowo. – Chcę, żebyś dała sobie spokój z tą sprawą z Hitchem. Cokolwiek się dzieje, nie jest warte... – Milknie. – Nie jest warte utraty ważnej części ciebie.

Nie do wiary! Ma mnie za taką cnotkę, że nie potrafi nawet wymówić tego słowa.

– Masz na myśli moje dziewictwo?

Na szyję wpełza mu rumieniec.

– Zasługujesz na coś więcej niż przelotną przygodę na jedną noc. Dziewczyna taka jak ty powinna mieć faceta, który obdarzy ją uczuciem i któremu naprawdę na niej zależy. Rozumiesz?